

Rysieczku przywieźli amputowaną rękę...

Wywiad z siostrą Teodozją Winnicką, która jest jednym z ostatnich naocznych świadków historycznej operacji przyszcicia odciętej ręki przeprowadzonej w szpitalu w Trzebnicy 21 października 1971 roku.

NOWa: Jak to się stało, że brała siostra udział w tej pierwszej operacji przyszcicia ręki w trzebnickim szpitalu?

Siostra Teodozja Winnicka: Pracowałam w szpitalu od 1963 do 1992 roku, jako pielęgniarka i instrumentariuszka.

Pamięta Siostra tę pierwszą operację?

Pamiętam. To było niespodziewane wydarzenie. Ja stałam wtedy przy operacjach już od rana. Akurat kończyli operować przepuklinę dwaj młodzi lekarze: dr Janusz Kaczmarzyk i dr Mirosław Jacaszek, a szef - dr Ryszard Kocięba wraz z dr Deodatem Łapczyńskim, stali jako asysta, nadzorując całą operację. W pewnym momencie na salę weszła dr Lidia Wilowska-Kocięba i powiedziała: "Rysieczku przywieźli amputowaną rękę". "Co znaczy amputowaną?" - zapytał dr Kocięba. "Nie wiesz? To znaczy obciętą. Pacjent obciął sobie na pile tarczowej rękę, przywiózł ją i prosi, żeby ją przyszyć". Wtedy dr Łapczyński odwrócił się do mnie i powiedział: "Pacjent nasz pan. Chce to mu przyszyjemy. Jak się nie przyjmie, to wyżej utniemy". Szef powiedział wtedy: "Dodek przestań." (Dr Łapczyński miał na imię Deodat, a ja Teodozja, stąd szef mówił do nas Dodek i Todek). Tak więc szef powiedział do doktora: "Dodek przestań. Idziemy sprawdzić co to jest. Todziu pilnuj". Ja miałam pilnować tych młodych lekarzy jak będą szyć. Po chwili szef przychodzi z tą ręką do sali przedoperacyjnej i mówi: "Todusz szyjemy". Ja stanęłam na środku bezradnie i mówię: "Boże to od czego zacząć?", a On mówi: "Od wszystkiego: kości, naczynia, mięśnie, nerwy...". Zadzwoiłam do siostry Hilgi (Brzoski) o wystawienie odpowiednich narzędzi i najcieńszych nici. "Proszę się nie wygłupiać" - usłyszałam w odpowiedzi, ale szybko wyjaśniło się, że nie żartuję. Po przygotowaniu na salę operacyjną wwieziono pacjenta, a wtedy jeszcze wszystkie butelki były szklane i w tym napięciu, które wszystkim się wtedy udzieliło, przy przejeżdżaniu przez próg butelka od kroplówki spadła i rozbiła się w drobny mak. Wtedy wszyscy jednogłośnie stwierdzili: "Szyjemy. Przyjmie się."

To był dobry znak?

Tak. Młodej parze na weselach też bito szkło na szczęście. Im więcej potłuczonego szkła, tym większe szczęście. Szef wziął rękę, pozaznaczał sobie naczynia i oddał ją na salę zabiegową. Tam do zabiegu przygotowały ją: pielęgniarka Klara Tkotz wraz z siostrą Hilgą. Pani Klara szorowała rękę szczotką pod bieżącą wodą. Po umyciu, ręka została zdezynfekowana czystą benzyną i spirytusem, a następnie została włożona do sterylonego naczynia wypełnionego solą fizjologiczną i antybiotykiem. Na końcu naczynie zostało wstawione do lodówki. Mówię to, o czym opowiedziała mi później pani Klara, bo my równolegle w tym czasie przygotowywaliśmy do zabiegu pacjenta. Operował wówczas oczywiście szef - dr Kocięba, dr Łapczyński i dr Kaczmarzyk, a obecny był również dr Jacaszek, którego jednak nie było bezpośrednio przy stole operacyjnym oraz dr Lidia Wilowska-Kocięba - anestezjolog. Przy operacji ręki nie zmieści się przy stole więcej niż trzy osoby. Natomiast przy przyjęciu pacjenta obecni byli dr Piotr Mozalewski, Klara Tkotz i siostra Hilga.

Kim był ten pierwszy pacjent?

To był Józef Maszkiewicz. 21-latek ze Skokowej. Tego dnia na pile tarczowej ciął drzewo, potknął się i zamiast pieńka na piłę poleciała mu ręka. On sam sobie zaopatrzył ten kikut, paskiem zaopatrzył krwawienie i jeszcze odszukał rękę. Jego matka jak zobaczyła co się stało, zaczęła mdleć i dlatego on tę rękę zabrał, zawinął w gazety i schował gdzieś między pustaki. Sąsiad zobaczył co się stało i wezwał karetkę. Jak przyjechało pogotowie to Józio poprosił, by zabrali tą rękę, by matce nie zostawiać, a tu jak przyjechał to go natchnęło, by poprosić o przyszcicie. Ręka była odcięta ok. godz. 12.00-12.30, a jego przywieźli ok. godz. 14.00.

Co siostra jeszcze pamięta z tej operacji?

Dzięki temu, że dr Sokołowski - poprzedni ordynator, wykonywał operacje na dużych naczyniach brzusznych, dysponowaliśmy odpowiednimi zaciskami do naczyń, a dodatkowo szef prawdopodobnie miał w zanadrzu cieńsze szwy, które były niezbędne przy tego typu zabiegu. Zaczęła się więc

operacja. Najpierw zespolenie kości i następnie po kolei mozolne zszywanie kolejnych części ręki. W momencie kiedy było zszyte naczynie wszyscy na sali wstrzymali oddech, zapanowała cisza jak makiem zasiał. Po chwili ta ręka zaczęła zmieniać kolor. Nie była już taka trupio biała, tylko zaczęła różowieć. Na kciuku przy paznokciu było otarcie i gdy ręka zaczęła różowieć to to otarcie zaczęło krwawić i wtedy już wiedzieliśmy, że krew krąży bo krwawi z naczyń włosowatych. Wtedy już wybuchła ogólna radość na sali. Wtedy na salę weszła siostra Hilga, a prof. Kocięba, który odszedł od stołu na chwilę, bo naczynia musiały się wypełnić, by można było dalej operować, złapał siostrę za welon z tej radości i zostawił krwawy ślad dłoni. Później zresztą ten ślad stał się przedmiotem żartu ks. Bochenka, który mówił, że siostra tą przyszytą rękę przyniosła na plecach. Ja poprosiłam wówczas, żeby siostra Hilga mnie zmieniła, bo od rana bez przerwy na sali byłam, bez picia i jedzenia. Pamiętam, że byłam dokumentnie wyczerpana. Tak więc, jak było szycie wiązań i ścięgien to już siostra Hilga asystowała jako instrumentariuszka. Mnie na sali operacyjnej już wtedy nie było. Tak to pamiętam po tych 50 latach.

Ile trwała ta operacja?

- Trwała blisko 6 godzin, wliczając w to konieczne przerwy robione dla sprawdzenia, czy naczynia działają.

Później już takie operacje zaczęły być przeprowadzane coraz częściej?

Już na drugi dzień szef pojechał i zakupił narzędzia potrzebne do tego typu operacji. No i później coraz częściej z różnych stron kraju przywożono takich pacjentów. Tutaj też moim zdaniem była wielka zasługa św. Jadwigi. Opatrzność boża sprawiła, że szef był przygotowany do operowania naczyń krwionośnych. Profesor z tego miał zrobioną specjalizację i z tego uzyskał doktorat. On w kwietniu przyszedł tutaj do Trzebnicy jako ordynator, a w październiku przywieźli tę rękę. Opatrzność boża za wstawiennictwem św. Jadwigi sprawiła, że był na miejscu lekarz, który mógł to zrobić, bo w innym przypadku lekarze mieliby duży problem. On już wiedział jak te naczynia się szyje, jak to powinno wyglądać i czym zrobić. Drugi taki wyraźny przypadek interwencji św. Jadwigi miał miejsce po kilku latach. Przywieźli dziewczynkę 12-13 lat. Miała na imię Bernadetta. Jej ręka była niemal całkowicie obcięta - była skręcona i trzymała się tylko na kawałku skóry. Był problem z tętnicą, która została zszyta, ale po poruszeniu ręki naczynia się blokowały. W końcu daliśmy za wygraną. Jak już ręka była szykowana do amputacji, to jedna z pielęgniarek, która nie była zbyt praktykująca złapała świeczki i pobiegła do grobu św. Jadwigi. Tam błagała, żeby w tej ręce wróciło krążenie, no i na stole operacyjnym tętno wróciło. To kolejny cud naszej świętej. Bo św. Jadwiga od samego początku patronowała temu dziełu. Gdyby nie ona, to nic by z tego nie było. Zawsze szef i dr Wilowska, kwiaty które dostawali od pacjentów, kazali zanosić do św. Jadwigi. Oni też wiedzieli, że Ona nam pomaga.

Szef był wierzący?

Chyba w zależności od potrzeby. (śmiech)

Jakim był człowiekiem?

Jako operator był wspaniały. Ja bardzo lubiłam z nim operować, bo był szybki w decyzjach, wiedział co chce i wiedział jak chce. Ja do niego się dostosowywałam. Nie mówię, że z innymi nie lubiłam operować, ale z nim najbardziej. Natomiast, jeśli chodzi o prywatne życie to trudno mi odpowiedzieć na to pytanie, bo znałam go tylko ze szpitala. Jeśli chodzi o pacjentów, to ich różnie traktował, ale to tak jak każdy lekarz, w zależności od swojego humoru. Co mi się podobało u szefa, to to, że nie pozwalał pacjentom źle mówić o lekarzach. Ja mam takie zdanie, że każdy z lekarzy, choćby najmłodszy stara się pomagać tak, jak najlepiej potrafi. Może ktoś inny zrobiłby to inaczej, ale ja nie spotkałam żadnego lekarza, który leczyłby pacjenta byle jak. Nigdy tak nie było.

Co jeszcze szczególnego siostra zapamiętała ze swojej pracy?

Zapamiętałam, że były to przeważnie operacje nocne, bo zanim przywieźli pacjenta to z reguły zapadała już noc. Raz przywieźli 18-letniego chłopca z okolic Wałbrzycha, ale rękę zamrozili tlenkiem azotu. Ręka była twarda jak metal, a odtajała dopiero po 3 dniach. Niestety z tego powodu skończyło się to zaopatrzeniem kikuta. Było też takie zdarzenie, że przywieźli rękę włożoną bezpośrednio do lodu. Niestety ręka nie może być także bezpośrednio w lodzie, bo będzie ją zamrażał, a nie chłodził. Zamrożone białko nie wraca już do normy. Niestety, przyszytą rękę trzeba było odcinać, gdyż pojawiła się Sepsa. Później w 1973 roku zaczęło się też przyszywanie nówek. Powstał już wtedy ośrodek replantacji.

Kto oprócz siostry pamięta jeszcze wydarzenia związane z pierwszą replantacją?

Nas zostało z tego zespołu tylko 5 osób: dr. Janusz Kaczmarzyk, siostra Natalia Marcinek, ja, Klara Tkotz (pielęgniarka) oraz Maria Krzyżanowska (salowa). Natomiast z okazji 50-lecia tej operacji przy wejściu do sali operacyjnej, w której obecnie znajduje się kaplica zakładu opiekuńczo-leczniczego, zostanie umieszczona tablica pamiątkowa, na której wymienione będą wszystkie osoby biorące udział w tamtej operacji.

Dziękuję za rozmowę.